Nr. 28. Warszawa, dnia 28 Czerwca (10) Lipca 1872 roku. ROK VIII.

Seryja trzecia.

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop. —
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

SPRAWY DZIECINNE.

III.

W artykule niniejszym zastanowimy się nad ogółem środków, któreby, nie gwałcąc co ile można istotnych praw wychowańca, przyzwyczajały go jednak, poczynając od najmłodszego wieku, do *pełnienia obowiązków*.

Wszystko, co się dziecku słusznie należy, stanowi jego *prawa*. Jedne z nich jak np. prawa do opieki, nauki i t. d. wynikają z obowiązku rodziców względem dzieci, i zostają pod kontrolą sumienia wychowawców, a nawet opinii publicznéj. Inne znowu należą zarówno do wszystkich istot posiadających ruch i czucie jak np. prawo swobodnego ruchu, prawo używania zmysłów, uzewnętrzniania swoich stanów psychicznych i t. d. i te przez wychowawców najczęściéj bywają gwałcone. Często bowiem rozkazujemy płaczącemu dziecku uspokoić się w jednej chwili, wydzieramy przedmiot którym się bawi, nie dajemy innego o który prosi, zabraniamy biegać i krzyczeć gdy jest wesołe, gniewamy się gdy nie słucha rozkazu.

Te i tym podobne zamachy przeciw swobodzie dziecka motywujemy zwykle potrzebą szacunku i posłuszeństwa względem starszych, które to cnoty mają być najpierwszemi obowiązkami dzieci; najczęściéj jednak te jak i wszelkie inne zamachy są aktami samowoli osób dorosłych, zapominających o tem, że usiłowanie wzbudzenia szacunku może rozwinąć obłudę i że ślepe posłuszeństwo trwa zwykle krótko i nie sprowadza dobrych rezultatów.

Prawdziwe obowiązki dzieci w gruncie rzeczy nie różnią się od obowiązków ludzi dojrzałych i są jakby miniaturą tych ostanich. Czegoż my bowiem wymagamy? Wymagamy najprzód żeby dziecko nie niszczyło sprzętów i ubrania, nie dokuczało sługom, krótko mówiąc—żeby nie było *szkodliwem*. Powtóre, żądając aby utrzymywało w porządku swoje zabawki, książki i ubranie, spełniało drobne polecenia, wymagamy tem samem aby było *użytecznem*. Mówiąc: „zastanawiaj się nad tem co robisz, pomyśl jakie będą skutki twego postępowania” i t. d. żądamy aby krytykowało swoje czynności, słowem—wymagamy od dziecka aby spełniało, oile mu siły starczą, to—co stanowi obowiązki osób dorosłych. Jeżeli więc tak jest i jeżeli dzieci rodzą się bez żadnych nałogów i zasad, to wychowawcy początkowo nie tyle wymagać powinni od dziecka spełniania obowiązków, ile raczéj starać się zaszczepić w niem takowe. Ciężka i mało użyteczna praca, gdy się ją zbyt późno zaczyna i niesystematycnie prowadzi, łatwa i wdzięczna gdy się zaczyna wcześniej a wykonywa bez przerw, zmian i z całą świadomością środków.

Fizyczny i duchowy organizm nowo-przybyłego na świat dziecka jest jak wosk, któremu najrozmaitsze formy nadawać możemy. Przy pomocy odpowiednich środków można wykręcać nogi i ręce, przekształcać tułów, spłaszczać lub wydłużać czaszkę, karykaturować twarz, słowem zrobić gimnastyka lub kalekę. Podobnież rzecz się ma z umysłem i sercem, w które wszczepiać możemy prawdę i fałsz, zasady uczciwe i przewrotne czyli krótko mówiąc—zrobić z wychowańca niedołęgę i łotra, lub zacnego i rozumnego człowieka. Chcąc zatem wychować dziecko podług pewnego planu, należy przedewszystkiem owładnąć owemi środkami, które istnieją wewnątrz i zewnątrz dziecka i które przy pomocy starannéj obserwacyi łatwo mogą być wykryte.

Ktokolwiek bowiem zastanawiał się nad życiem codziennem, ten wie, że chwilowe upodobanie, nałóg, nadzieja korzyści lub przyjemności, zachęta wreszcie i namowa skłaniają ludzi do czynów, i że naodwrót—niewiadomość, brak sił, środków i wprawy, obawa strat lub przykrości, a w końcu nagana i zakaz stanowią dla czynów przeszkody. W duszy każdego człowieka nieustannie rodzą się jedne i drugie pobudki, wspomagają się lub ze sobą walczą, wzmacniane albo osłabiane przez wpływ okoliczności zewnętrznych,—a zwycięztwo zawsze przechyla się na tę stronę, która jest silniejsza tak ze względu na okoliczności jak i ze względu pobudki.

Te same sprężyny, które poruszają duchowy mechanizm w człowieku dojrzałym, są również sprężynami czynów dziecka, tylko w działaniach pierwszego w każdéj nieomal chwili biorą udział odrazu wszystkie, w drugiem tworzą się dopiero i nabierają hartu. Wzmacniać jedne z nich a osłabiać inne, wytwarzać nałogi dobre a nie dawać się złym rozwinąć, wprawiać dziecko do sądzenia siebie i panowania nad sobą, wszczepiać w nie wiarę, że nie chwilowy grymas ale pamięć o prawach osobistych i towarzyskich powinny rządzić jego postępowaniem,—oto dla wy-

---

ŚLADY ŻYCIA.

XVI.

Tyle życia, ile w czynie.

Nie możemy nie podzielić się z czytelikami wrażeniem, jakiego doznajemy od dni kilku na egzaminach prowadzonych w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych. Ktokolwiek tam poszedł, młody czy stary, dziecię czy pedagog, nie wyszedł bez korzyści. Dzień 22 z. m. poświęcony był egzaminowi oddziału Ociemniałych, z przedmiotów umysłowych i muzyki instrumentalnéj i wokalnéj. Do przedmiotów umysłowych należą: Nauka Religii, Język polski, Czytanie i Pisanie, Historyja, Geografija, Arytmetyka, Nauki Przyrodzone. Pomijając już tę okoliczność, że egzamin ociemniałych właściwego sobie będąc charakteru, jest interesującym dla każdego, a nauczającym dla pedagogów, pomijając ciekawe dla wszystkich czytanie i pisanie przez Ociemniałych, nie możemy pominąć milczeniem egzaminu z języka, z którego wnosimy (lubo nie wszyscy uczniowie zadowalniająco odpowiadali) z jednéj strony o dobrej, trzeźwéj metodzie wykładu, wolnéj od wszelkiego mechanizmu, posługującego się pamięcią, tylko z krzywdą innych władz umysłowych, z drugiéj o zrozumieniu potrzeb umysłowych ociemniałego, przeznaczonego pędzić życie w sieroctwie ducha. Tego drugiego względu dowodzi egzamin klassy najstarszéj, z Poetyki, z którego się pokazało, że uczniowie oznajmieni są nietylko z teoryją poezyi, ale ze wszystkiemi najważniejszemi przejawami ducha ludzkiego, w historycznym rozwoju téj sztuki. Nie sądzimy, aby znalazł się ktokolwiek, nie uznający konieczności potrzeby wyższego rozwijania umysłu ociemniałego, w kierunku uczucia, muzyki i poezyi zwłaszcza. Jeżeli egzamin z przedmiotów jest godnym uwagi, to egzamin z muzyki ociemniałych, budzi żywe zajęcie i rozrzewnienie każdego bez wyjątku. Tutaj w całéj pełni występuje i nakazuje sobie uznanie miłość bliźniego, która zdaje się jakby stworzyła świat nowy dla tych upośledzonych. Mogą znawcy nie zachwycać się muzyką ociemniałego, sądząc rzecz z punktu widzenia sztuki, ale ktokolwiek sądzić ją będzie ze stanowiska uczucia, ktokolwiek spojrzy na tę muzykę nie jako na sztukę, mającą nowe światy nam odkrywać (od tego są geniusze), ale jako na objawy serca, w ścieśnionéj atmosferze ciemności bijącego,—ten przyznać musi, że muzyka jest żywiołem ociemniałego, że świat tonów, jego jest światem. Ociemniali mają właściwy sobie sposób traktowania instrumentów, zwłaszcza fortepianu;—zdaje się, że żadna siła nie potrafiłaby ich w danéj chwili od muzyki oderwać. Takie myśli nas organiały przy słuchaniu śpiewów i muzyki ociemniałych w orkiestrze i grze solowéj. Egzamin wykazał niemniéj, że posiadają oni bardzo dobrą znajomość teoryi muzyki. Tydzień ubiegły przeznaczony był na egzamina głuchoniemych. Osobny szereg artykułów specyjalnych mógłby dopiero wykazać zasady metod nauczania; tutaj wspomnieć tylko możemy, że punktem wyjścia w nauczaniu głuchoniemych jest rzeczywistość, — fakta, wzrok zwłaszcza dzieci uderzające. Mimo to jednak zbyt często mechanizm wysuwał tam swoje rogi; im uczeń lepiéj odpowiadał, tem większe robił na nas wrażenie maryjonetki lub pozytywki, nie zaś myślącéj istoty. Tem bardziej to uderza, że

chowawcy najwyższe zadanie. Lecz chcąc mu podołać, liczyć się musi, jak już mówiłem, i z usposobieniem dziecka i z wpływami zewnętrznymi. Niżej wypowiedziane uwagi wskażą mniej więcej porządek, jaki w tej pracy przestrzegany być powinien.

Od chwili przyjścia na świat dziecko używa wszystkich swoich uzdolnień: patrzy, słucha, chwyta drobne przedmioty, wygina je, ściska, posuwa, rzuca, w tej już więc epoce czuwać musimy nad tem, aby *złych nałogów* nie nabyło. Jeżeli zatem w pokoju dziecka będzie nieporządek, jeżeli dziecku podsuwać będziemy zabawki kruche i łatwo brudzące się, jeżeli nie zmienimy na nim brudnéj sukni, to po paru latach zepsucie zabawki, zabrudzenie sukni, nie zrobią na dziecku przykrego wrażenia, przyzwyczai się ono bowiem do podobnych faktów. Jeżeli zaś naodwrót zabawki naszego wychowańca będą mocno zbudowane, jego suknie zawsze czyste, sprzęty w pokoju zawsze znajdą się na właściwem miejscu, to z czasem zepsuta zabawka, zbrudzona suknia i t. d. wydadzą mu się czemś nienaturalnem i przykrem, czego też wszelkiemi siłami unikać będzie.

W podobny sposób regulują się stosunki wychowańca do ludzi. Jeżeli zarządamy od niego chleba gdy jest głodnym, lub zabawki, którą w tej chwili wziął do ręki, to naturalnie nie zechce dla nas zrobić poświęcenia z tego co mu jest najdroższem i albo musimy ustąpić, albo wydrzeć przemocą żądany przedmiot. Fakta pierwszego rodzaju przyzwyczajają je do nieszanowania naszych żądań, fakta drugiego rodzaju uczą gniewu i oporu. Jeżeli więc chcemy przyzwyczaić wychowańca do posłuszeństwa, stawiajmy mu początkowo żądania, któreby były nie tyle formułą naszych, ile uprzedzeniem jego własnych pragnień, mówiąc „połóż to" gdy widzimy że chce położyć, lub „weź owo" gdy widzimy że do tego już prawie ręce wyciąga. Często wprawdzie trafia się potrzeba wydobyć coś z rąk dziecka, lub usunąć je od czegoś, lecz wtedy dość zwrócić uwagę dziecka w innym kierunku, pokazując np. dzwonek, lub wogóle jakąś zabawkę, która robi na niem silne wrażenie.

W tej epoce życia dziecka unikajmy posługiwania się strachami dla osiągnięcia pewnych celów, aby wychowaniec z czasem nie został bojaźliwym i przesądnym, nie twórzmy dlań również oddzielnego pieszczotliwego języka, aby nie nauczył się źle mówić, a co nadewszystko, nie poznał i nie uwierzył w to, że z nim inaczej trzeba postępować niż z temi którzy go otaczają. Niedługo bowiem możemy i takie zdanie usłyszeć: *„ty musiś mi to zlobić, bo ja jeśtem mali,"* co rodzice kładą zwykle na karb genjuszu, a co stanowi pierwszy szczebel do dziecięcej samowolności i tyranii.

Złe również pociąga za sobą skutki zbyteczna i przesadna troskliwość o zdrowie dziecka, owszem, nie brońmy mu poznać co znaczy wyraz: *boli* a co *parzy* i nie o tem myślmy aby dziecko ochronić od najlżejszego oparzenia lub ukłucia, lecz o tem aby zrozumiało, że wyrazy: „nie bierz tego bo się ukłujesz"—stanowiły zbawiennne ostrzeżenie. Gdy dziecko pozna, że każde polecenie prowadzi do dobrego, a każdy zakaz chroni od złego, wówczas stanie się posłusznem i nabierze ufności do wychowawcy, byle ten ostatni nie dawał dziecku powodów do przeciwnego mniemania.

Rezultatami tak prowadzonej początkowej edukacyi będą: 1, brak przyzwyczajeń złych, 2, więcej lub mniej przyzwyczajeń dobrych, 3, pewien zapas osobistego doświadczenia, na którem dalsza praca wychowawcy oprzeć się musi. Gdy zaś dziecko pozna już w pewnym zakresie co znaczy *złe*, a co *dobre*, gdy się oswoi z pewnemi czynnościami i mówić się nauczy, wówczas śmiało przystąpić można do wykładu i objaśnienia tego jak postępować winno, do układania pewnych *przepisów*.

Pod wyrazem *przepisy* rozumiemy krótkie zdania według których dziecko powinnoby kierować swojem postępowaniem. Przepisy należy pojedynczo i powoli zaszczepiać w pamięci dziecka, które też powolnie musi się do ich wykonywania przyzwyczajać i stopniowo przekonywać o tem, że wykraczając przeciw przepisom naraża się na przykrość, stosując się zaś do nich nabywa praw do przyjemności.

Jaki porządek w układaniu przepisów winien być zachowany, jakiemi środkami siłę ich wzmacniać, w jakich wypadkach wykroczenia przeciw nim uwzględniać można, wszystko to zależy od rozwinięcia dziecka i okoliczności wśród których żyje ono, musi być więc całkowicie pozostawione uznaniu wychowawcy.

Streszczając to co powiedziałem o ogóle środków do kształcenia woli dziecka proponowanych, wypada że: w epoce wciągu której dziecko niema nałogów, nie zna dokładnie najprostszych czynności, słowem—potrzebuje piastunki, należy, celem zaszczepienia w niem nałogów dobrych usuwać okoliczności wpływające szkodliwie, a nastręczać te, które mogą wpłynąć korzystnie, celem zaś skłonienia go do posłuszeństwa, należy, każde polecenie wspierać środkami sprawiającemi dziecku przyjemność, w przeciwnym bowiem razie może się w niem rozwinąć złość i niechęć do starszych. Gdy zaś dziecko podrośnie, gdy zmężnieje jego pamięć i rozsądek, gdy uzyska większą swobodę i nabędzie już pewnego doświadczenia, wtedy do środków poprzednich dołączyć należy: objaśnienie jego obowiązków i przepisy wzmocnione przykrością i przyjemnością.

Ostatnie to zdanie obszerniej rozwinięte w artykule I, ściągnęło na siebie zarzuty ze strony *Przeglądu Tygodniowego i Kłosów*, które to pisma moim poglądom *przeciwstawiają* przyzwyczajenie dziecka do pełnienia obowiązków...

Szkoda że stawiający zarzut niezwrócili uwagi na to, że właśnie nie co innego, tylko zaszczepienie poczucia obowiązku miały na celu wszystkie proponowane przezemnie środki. Co zaś do samych kar i nagród, to wypada nam się porozumieć bliżej. Zapytuję więc Szanownych Recenzentów czy w dzisiejszem społeczeństwie znajduje się jakie dziecko, choćby najlepiej wychowane, któreby nie miało wad mniejszych i większych i któremuby za dobre postępowanie nie obiecywano i nie robiono przyjemności, a za złe przykrości, a dalej, czy przy obecnym stanie cywilizacyi jest środek, któryby przy wykorzenieniu wad okazał się silniejszym nad przykrość i przyjemność? Jeżeli jakimś innym sposobem można pohamować bardzo zresztą naturalny popęd dziecka do aktów samowoli, jeżeli nad obawę przykrości i nadzieję przyjemności, rozumie się w najobszerniejszem znaczeniu tych wyrazów, znajdują się wyższe dla czynów ludzkich pobudki, wówczas chę-

---

spostrzegamy znowu bystrość, ile razy są oni zapytani o rzeczy dostępne ich pojęciu, łubo niektórzy z nich robią wrażenie idyjotów. W nauczycielach młodszych znać więcéj energiją i pracę żelazną, w starszych, rutynizm, pewność siebie; egzamina tych pierwszych o wiele lepiej się wydały. Uczniowie mową pytani, mową odpowiadają i migają równocześnie; wymowa niektórych jest znośna, ale wymowa dziewcząt zwłaszcza prawie niezrozumiała. Sądząc z tego cośmy tam widzieli i słyszeli, nie możemy jasno zdać sobie sprawy z ostatecznego celu egzaminów. Z początku myśleliśmy, że jest to egzamin jak wszystkie inne, celem ścisłego obrachunku z nauczanymi. Rzecz atoli przedstawiła nam się inaczej—nauczyciele bowiem starają się pytać tylko najlepszych uczniów, odbywając z nimi pewien rodzaj popisu. Postępowanie takie wydaje nam się mniéj korzystném.

* * *

Na naszę wzmiankę o artykule *Języki i religija*, p. *Hodi* odpowiedział postscriptum zamieszczonem w N. 365 *Kłosów*. Znajdujemy tu zarzuty dwojakiego rodzaju: jedne podsuwającnam złośliwe intencyje, starają się przekonać, jakoby wzmianka nasza była jakiemś urąganiem autorowi na osobistej przeciw niemu antypatyi opartem; a drugie bardziej już faktyczne mają na celu przeniesienie słuszności ze strony naszej na stronę autora. Tych ostatnich jest właściwie dwa tylko: 1-sze p. Hodi utrzymuje, że litewskiego słowa *žinau* nie wyprowadzał od sanskryckiego *veda*, objaśniając, że „byłaby to niedorzeczność", 2-gie że *Maks Müller* twierdzenie swoje co do czystości i wzniosłości pierwotnych pojęć bóstwa, rozwinął w szeregu prelekcyj mianych w Królewskim Instytucie. Co do pierwszego zarzutu, to przytaczamy już w tekście i literalnie, to co p. Hodi napisał poprzednio: „*Gnati*, ze zmianą w pewnych razach *g* na *ž* ma w nim (t. j. w sanskrycie) zupełnie to samo znaczenie, co w sławiańskim *znati*, znać, a więc *as žinau*, za pośrednictwem sanskr. *gnati* i słow. *znati*, łączy się z naszym wieur" (N. 360); a właśnie to wiem wyprowadza się od sanskr. veda. Cóż znaczy „łączenie za pośrednictwem" sanskryckiego i słowiańskiego wyrazu dwu różnych pierwiastków, jeśli nie wyprowadzanie jednego od drugiego? Jeśli zaś p. Hodi twierdzi, że mówił to o związku *moralnym*, duchowym — to nie było po co się trudzić i Maksa Müllera na poparcie swego zdania powoływać; boć w każdym języku czyto chińskim czy słowiańskim *wyrazy oznaczające jedno pojęcie muszą być koniecznie spokrewnione duchowo* (nie mówimy *moralnie*, gdyż byłoby to w obecnym wypadku rzeczą najzupełniej niewłaściwą). Jeżeli zaś ktoś wyprowadzając spólność językową pewnych narodów, opiera się na badaniach istotnie naukowych, to musi wykazać *pokrewieństwo literalne;* bo jedynie tożsamość pierwiastków i ich odmian może być dostatecznym dowodem (filologicznie rzecz biorąc) pochodzenia owych narodów z jednej spólnej ojczyzny. A to właśnie było treścią listu p. Hodiego. Co do zarzutu drugiego, to nie przeczyliśmy bynajmniej, że Maks Müller takie nie zaś inne ma przekonania, chociaż co do sformułowania ich niezupełnie godzilibyśmy się na słowa p. Hodiego. Nam szło o wypowiedzenie własnego w tej mierze zdania w przeciwstawieniu do myśli Müllera wygłoszonych przez pana Hodiego. P. H. nie zbił postawionych tam przez nas dowodów, nie możemy się więc spierać. Wykrzyknik zaś żebyśmy naukę nauką zbijali jest bardzo słuszny i może być dla nas zachętą, za którą jesteśmy wdzięczni p. H., ale nie stanowi przekonywającego argumentu, któregośmy mieli prawo po nim się spodziewać!

Pana Hodiego dotknęły nasze uwagi, z których żadna, nawet zaznaczenie niezwykłego jego talentu, nie miała szczęścia przypaść mu do smaku. Dowodzi to niezwykłej drażliwości której wszelkiemi siłami unikaćby należało w interesie jedności i zgody. Gdybyśmy mieli takież samo usposobienie, to na jego insynuacyje co do naszej nieotwar-

tnie od opinij swoich odstąpię i nowe popierać będę.

Lecz nie koniec na tem. Przypuśćmy, że ogół wychowawców zgadza się na *system kar i nagród*, ale musi odrzucić mimo to moje poglądy jako barbarzyńskie ze względu na jakość kar? Nie sądzę; w artykule bowiem I (N. 19 *Opiekuna*) powstawałem na kary wymierzane w gniewie, radziłem głęboko namyślać się przed ich naznaczeniem, radziłem wybierać je z zakresu najprostszych codziennych stosunków, a czy w tem jest co złego? Czy lepiej dziecku sadzać oślą czapkę na głowę, kazać klęczyć na grochu, niekiedy nawet katować, czy zamiast tego powiedzieć mu: zrobiłeś źle, więc niepójdziesz tam gdzie inni idą, a choćby nawet: *niedostaniesz obiadu?..* Ileż to dzieci nie jada obiadów i dla czegóż by inne nie miały poznać co to jest głód?...

Mojem zdaniem, dziecko od przyjścia do rozumu o dwu rzeczach wiedzieć powinno: 1, że tylko praca i zasługa daje ludziom prawo do wygód i bytu, 2, że pracą i zasługą dzieci jest stosowanie się do przepisów. Jeżeli dziecko nie uchybia im, niech używa wszystkich przyjemności, jakie życie codzienne nastręcza, jeżeli uchybia, niech doznaje pewnych ograniczeń, każda zaś nowa zabawka, nowa rozrywka, niech nie spada nań niespodziewanie z okazyi jakiegoś święta, ale niech będzie nagrodą nowej zasługi. Słowem: poszanowanie przepisów ze strony dziecka, zamiast bezmyślnej uległości woli starszych, a ścisłe pilnowanie tych przepisów zamiast samowolności ze strony wychowawcy, oto system, który według mego zdania wzmocni zachwianą powagę rodziców, zaszczepi w dzieciach poczucie konieczności spełniania obowiązków i ustali siłę rozprzężonych dziś węzłów rodzinnych.

Al. G.

Z MELODYJ BIBLIJNYCH

Kornela Ujejskiego.

ŻONA PUTIFARA.

Takiemiż słowy na każdy dzień niewiasta przykrzyła się młodzieńcowi.

Genesis Roz. XXXIX.

„Hebrajczyku! harde dziecię,
Zbliż się ku mnie, zbliż,
Patrz! na twoje ja przybycie
Okwieciłam łoże skrycie,
Rozścieliłam w szerz.

Cisza w koło!—na me łono
Białe czoło złóż,
Róże wonią, lampy płoną —
Nie lękaj się pod zasłoną
Ni blasku, ni róż.

Wygładź, wygładź gniewne lice,
Schyl się chłopcze, schyl,
Ja rozkoszniéj cię pochwycę
Niźli ślubną swą dziewicę
Co rok chwyta Nil.

Śród wiosennéj nocy chłodu
Jak tam pachnie błoń!
I tyś jako kwiat ogrodu,
A więc kochaj, kochaj z młodu,
Bo miłość—to woń!

Głazem stoisz niewdzięczniku
Jak w grobowym śnie?
Przystąp bliżéj hebrajczyku,
Zgryź mi nitkę w naszyjniku,
Perły gniotą mnie,

Zerwij perły!—nie szczędź ząbka,
I przepaskę zwiąż,
Bo pierś moja jak gołąbka
Drży od chłodu, i z pod rąbka
Wychyla się wciąż.

Nie patrz na mnie tak ukośnie,
Ni mnie okiem mierz,
Bo mi serce bije głośniéj..
Z twą pogardą gniew mój rośnie,
Strzeż się chłopcze, strzeż!

Patrz, jak cicho Nil się kładnie,
Gdy go głaszcze łódź;
Lecz zuchwale kto weń wpadnie,
Krokodyla znajdzie na dnie,
Co go będzie pruć.

Strzeż się! zanim żądłem błysnę,
Nim wyrzucę jad,
Gdy cię moją zemstą ścisnę
Tak w pamięci twéj zawisnę
Jak na kwiecie gad.

Z tém wzniesionem czołem dumnie
Jakżeś piękny ty!—
Cóż naplotłam bezrozumnie!
Nie wierz słowom! bo to u mnie
Razem gniew i łzy!"—

— Precz kobiéto! precz gadzino!
Nie czepiaj się nóg,
Gniew twój przejdzie, łzy przeminą,
Moje czyny w wieczność płyną,
Na mnie patrzy Bóg! —

GAWĘDY POPULARNO-NAUKOWE.

(Ciąg dalszy.)

III. Sen i marzenie.

Marzenie. — Kombinacyje senne. — Wrażenia zmysłowe,—Sen jako po-słaniec miłości.—Zmora.—Spadanie i latanie we śnie.—Niejaśność sennych obrazów. —Sen bez marzeń. — Występki we śnie.—Marzenie w marzeniu.—Bezsenność.— Środki na sen.

Czuwając, jakem tojuż powiedział, jesteśmy w stanie wywoływać takie wyobrażenia, jakie chcemy. Możemy myśléć o tem, o czém chcemy. Jednakże niezawsze się tak dzieje. Często bez naszego udziału, jakto mówią przypadkiem, ze skarbca wspomnień przychodzi nam na myśl jakiś przedmiot i nad nim dowolnie rozmyślamy, albo też pomimo woli, przez łączenie się myśli, przechodzimy na inny. We śnie, chociaż wywoływanie wyobrażeń przez wolę, jest niemożebnem, zachowane jednakże w pamięci obrazy, budzą pomimo woli naszéj, pewne myśli. Są to najczęściéj doznane w dzień silniejsze wrażenia, albo myśli, które nas zajmowały przed samym udaniem się na spoczynek. One to bywają pobudką do szeregu sennych marzeń. Niekiedy wyobrażenia te, rozwijają się szeroko, czasami znowu assocyjacyja idei nasuwa nam na myśl inne obrazy i w takich razach nie jesteśmy w stanie wykazać związku myśli sennych, z myślami dnia.

W stanie czuwania, wrażenia zmysłowe bywają najczęstszą pobudką do szeregu myśli. I we śnie, chociaż jak wiemy, zmysły przestają funkcyjonować, zachowują jednak, do pewnego stopnia, wrażliwość, szczególniéj słuch i czucie; zmysły te w najgłębszym nawet śnie, przy silniejszych wrażeniach, nie przestają działać. Zawsze jednak, wywołany przez takie wrażenie obraz, jest niejasny

tości (prościej mówiąc obłudy) moglibyśmy postawić na straży i „zobopólną godność osobistą" i frazeologiją podejrzeń. Uważamy jednak, że kącik miłości własnej, w której drażliwość owa przesiadywać zwykła, choć może być bardzo wygodnym, ale pomimo to nie przestaje być ciasnym; stąd też jak najszczerzej i najotwarciej oświadczamy, że osobistość p. Hodiego jest dla nas najzupełniej nie znana, że przeto nie mieliśmy ani zamiaru ani możności robienia jakichkolwiek podejrzeń.

* * *

Piszą z Lublina do „Kuryjera Codziennego":

Kuryjer Lubelski na początku r. b. wspomniał pobieżnie o założeniu we wsi Żukowie w powiecie lubelskim, fabryki wyrobów garbarskich. Obecnie gdy fabryka ta w całym rozwoju funkcyjonuje, śpieszymy dać o niej więcej szczegółów wiadomości. Wieś Żuków odległa o 3 mile od Lublina, położona w okolicach Piask, Bychawy, Żółkiewki, stanowi własność p. Walentego Zaczkowskiego fabryka zaś jest wspólną własnością pp. Zaczkowskiego, i Emiljana Domańskiego, który po ukończeniu kursu nauk w b. Szkole Główuej w Warszawie, ze stopniem magistra chemii nauk przyrodzonych wstąpił do jednej z fabryk garbarskich w Warszawie, a po uzyskaniu patentu garbarskiego, studyjował tę gałęź przemysłowo-fabryczną w fabrykach zagranicznych.

Za powrotem do kraju, zawiązał współkę z p. Zaczkowskim i urządził fabrykę, której wyroby zyskały już uznanie, skoro nietylko lubelscy detaliczni kupcy je rozbierają, ale nadto fabryka otrzymuje zamówiem składników warszawskich, jak o tem naocznie przekonaliśmy się.

Nie wątpimy że fabryka ta mając w p. Domańskim kierownika wysoko ukształconego, wkrótce wziętość swoją rozszerzy i stanie na równi z pierwszorzędnemi u nas tego rodzaju zakładami. Winszować więc należy pp. Domańskiemu i Zaczkowskiemu, którzy potrafili otrząść się z odwiecznego uprzedzenia i w naszej okolicy pierwsi dali przykład zaszczytnej pracy w tym kierunku. Oby przykład ten znalazł naśladowców i w innych gałeziach przemysłu, a spodziewamy się że znajdzie, skoro, o ile słyszeliśmy, kilku z młodzieży kończących tego roku kurs nauk w tutejszem gimnazyjum, zamierza wstąpić na praktykę do fabyki p. Domańskiego.

* * *

Słyszeliśmy że jeden z naszych pierwszorzędnych dyrektorów muzyki, zamierza uorganizować pod swoim kierunkiem w Warszawie szkołę liryczną. Byłoby do życzenia, aby wiadomość ta urzeczywistnić nię mogła.

* * *

Znany dziejopisarz Wacław Aleksander Maciejowski przystąpił już do drukowania nowej pracy swoj j historycznej, ebejmującej przed-Chrobroskie dzieje.

* * *

W bliskości ogrodu Krasińskich, otwiera się wkrótce *Zakład zajęć i zabaw pożytecznych* dla małych dzieci. Celem pomienionego zakładu, jest nazwyczajanie jak najwcześniejsze dzieci do systematycznego i pożytecznego zajęcia, jako to: obznajmienie dziewczynki z robotkami ręcznemi, szyciem dla lalek, chłopczyków z rysowaniem, wykluwaniem na papierze, układaniem figur architektonicznych, i t. p.—Kilka godzin podobnych zajęć, urozmaiconych gimnastyką pokojową i grami wyrabiającemi zręczność ruchów, nie zrażą najmniejszego nawet dziecka, a przygotują je do przyszłych zajęć naukowych, nazwyczajając do skupiania uwagi; rodzice zaś będą mieli pewność, że dziatki pod starannym dozorem i troskliwą opieką, czas ten spędzą. Wiadomość powyższą powtarzamy z „Kuryjera Warszawskiego" czekając na bliższe szczegóły.

* * *

i dlatego też często zupełnie się przekształca, dzieje się to tak samo, jak kiedy w półcieniu pień drzewa, bierzemy za siedzącego, nad drogą, człowieka. Niejasność wrażeń zmysłowych, pozwala wyobraźni zabarwiać je dowolnie, tak więc, pobudzone w czasie snu czucie, albo słuch, wywołuje senny obraz, ale wrażenie zmysłowe, daje ogólne tylko zarysy, ogólną podstawę do gmachu marzenia. Literatura wiele przedstawia takich przykładów. Meyer (Próby objaśnienia objawów chodzenia we śnie) przytacza, iż mu się raz śniło, że go zbójcy napadli, położyli na ziemię i wbijali kołek między wielki i następny palec u nogi. Po obudzeniu się, znalazł między temi palcami, źdźbło słomy.

Ktoś inny podaje, że kładąc się do łóżka, położył w nogach gorącą ogrzewaczkę i w skutek tego, śniło mu się, iż z wierzchołka Etny, spada po roztopionéj lawie. Podobnież jeżeli śpiąc niespokojnie, zrzucimy z siebie kołdrę, zdaje nam się, że w porze zimowej, nawpół ubrani, chodzimy po ulicy. Z zewnątrz wiejący wiatr, sprowadza we śnie widok burzy morskiej, tonącego okrętu i t. p. zasłyszane przez sen pukanie do drzwi sprawia to, że nam się zdaje, iż banda złodziei włamała się do mieszkania i t. p.

Rzadko się zdarza, aby na jawie wymówione wyrazy, zrozumiane były przez śpiącego i jako wyrazy, wywołały odpowiednie wyobrażenia. Są jednak przykłady, że w ten sposób wpływano na marzenia śpiących. Dr. Abercrombi przytacza fakt następujący; „W czasie wyprawy w r. 1758 do Ludwiksburga, oficerowie angielscy, jednemu z kolegów, mogli narzucać dowolnie rozmaite marzenia, przez szeptanie do ucha odpowiednich wyrazów.” Kluge, podaje następujący przykład: „Pewien nieszczęśliwy kochanek, niemogący pozyskać wzajemności panny, za pozwoleniem matki, któréj względy posiadał, szepnął do ucha ukochanéj podczas snu swoje imię, idąc w tym względzie za poradą wróżki. Wkrótce, w uczuciach panny zaszła zupełna zmiana, zdecydowała się i oddała mu swoją rękę. Zapytana o przyczynę, odpowiedziała, że go pokochała w miłych snach, które się bardzo często powtarzały.” Robię tu uwagę, że chociaż za prawdę tego zdarzenia nie ręczę, możliwości jednak stanowczo zaprzeczyć nie mogę. I kto ma ochotę, niech w braku lepszych, użyje tego środka, jako ostatecznego, do zdobycia serca ukochanej.

Wewnętrzny zmysł czucia w stanie podrażnienia wywołuje częściej jeszcze senne widziadła, aniżeli zmysły zewnętrzne. Pod wewnętrznym zmysłem czucia, rozumiem to działanie tego zmysłu, które nas zawiadamia o stanie wszystkich organów ciała naszego, a które jako całość nazywa się czuciem ogólnem. Tu należą pojęcia zdrowia i niezdrowia. W stanie zupełnego zdrowia, nie czujemy działania naszych organów. Nie czujemy nawet że mamy: żołądek, serce, mięśnie i t. d. Ale, skoro tylko zajdzie jakakolwiek przeszkoda w funkcyjonowaniu, zaraz zawiadamia nas o tem (obok współczesnego niekiedy bólu) pewne nieokreślone, nieprzyjemne uczucie. I we śnie doświadczamy tych samych uczuć. Są one jednak nie tak wyraźne i nie tak jasne. Z temi też uczuciami zarówno jak z wrażeniami zmysłów zewnętrznych wiążą się zaraz pewne symbolizujące je obrazy.

Najpowszechniejszem w tym rodzaju zjawiskiem, jest zmora. Spowodowywa ją kurczowy stan mięśni oddechowych i powstające w skutek tego przytłumienie oddechu. Zjawisko to, może także wywołać przepełnienie żołądka, który w takim stanie naciska przeponę i ugniata płuca. W stanie czuwania, takie utrudnienie oddechu pojmujemy właściwie, wiemy, że to jest uczucie miejscowe, śpiąc zaś nie zdolni jesteśmy do takiej rozwagi i w skutek prawa łączenia się myśli, przy uczuciu ciśnienia, powstaje zaraz w myśli naszéj obraz uciskającego przedmiotu. I tak, np. śni nam się, że przez nasze ciało, przechodzi wóz z ciężarem; albo że straszna czarna postać spuszcza się z sufitu i powoli spada nam na piersi. Często, zamiast tego, doznajemy we śnie gwałtownego przerażenia, wielkiego strachu; ponieważ tego rodzaju wzruszenia, zwykle tak samo działają na oddech. Śni nam się naprzykład, że napadli na nas zbójcy, chcemy ratować się ucieczką, ale nogi odmawiają posłuszeństwa, jak gdyby wrosły w ziemię. W rozpaczy usiłujemy wołać o pomoc... nadaremno... w żaden sposób nie możemy wydać głosu. Aż nakoniec, po długiem próżnem usiłowaniu, ustaje uparty kurcz mięśni oddechowych i budzimy się, często z krzykiem.

W podobny sposób można objaśnić, każdemu dobrze znane spadanie z wysokości. Zdarza się to najczęściéj przy zasypianiu i polega na tem, że zwolna usypiające mięśnie z powodu chwilowego podrażnienia, znowu się ściągają i pociągają za sobą kurczenie się ciała, co także ma miejsce przy spadaniu z wielkiej wysokości. Od takiego snu, trochę się różni, pospolite także, złudzenie senne: latanie po powietrzu. Według Scherner'a, polega ono, na dochodzącem do świadomości, funkcyjonowaniu naszych płuc. Uczucie to spowodowywa wznoszenie się i opadanie górnych kończyn płuc.

Rozmaite stany ciała, dochodzące w półśnie do świadomości naszej, według praw łączenia się myśli stale wywołują pewne marzenia senne. Wzruszenia moralne także wpływają na rozwój sennych widziadeł.— „Wielka radość inne sny wywołuje aniżeli ciężkie zmartwienie, namiętna miłość inne, aniżeli nienawiść, gwałtowny żal lub wyrzuty sumienia.”

Zwracając przez dłuższy czas baczną uwagę na nasze sny, z łatwością przekonamy się o rzeczywistości powyższych praw. Ależ zarazem dostrzeżemy, że bardzo jest trudno po obudzeniu się za pomocą pamięci sen odtworzyć. Ma to podwójną przyczynę. Najprzód obrazy senne, bywają po większéj części tak niewyraźne tak blade i w szczegółach tak niepewne, że starając się przypomnieć je, pomimo woli używamy do pomocy działającej już po przebudzeniu wyobraźni i obrazom tym nadajemy dowolne zabarwienie i zarysy. Drugą jest wrodzona dążność ducha ludzkiego, do spostrzegania wszystkiego w loicznym związku. Odtwarzając po przebudzeniu się sny, składające się z szeregu obrazów, połączonych bardzo wątłą spójnią assocyjacyi idei, pomimo woli nadajemy im związek loiczny i zgodny z życiem rzeczywistem, którego tam nie było.

(D. c. n.)

W dniu 1 Lipca odbył się Akt zakończenia roku szkolnego w tutejszym Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych. Zebrana licznie publiczność ze wszystkich warstw inteligentnej społeczności, z zadowoleniem przypatrywała się i przysłuchiwała popisującym się wychowańcom, którzy z każdym rokiem zadziwiające czynią postępy. Warszawski Instytut należy dziś do pierwszorzędnych zakładów Europy, tak pod względem nauki jako też i praktycznych zajęć. Lat temu kilka, zakład ten był prawie zwyczajną ochroną; podręczników nie miał prawie żadnych, nauczycieli o połowę mniéj; dziś pod kierunkiem teraźniejszego zwierzchnika, wszystko się zmieniło ku dobremu i Instytut stanął w rzędzie zakładów specyalno-naukowych, przodując innym tegoż rodzaju; (w roku bieżącym była wydelegowaną przełożona takiegoż zakładu w Petersburgu, do obznajmienia się z tutejszem urządzeniem i sposobem wykładu z celem zaprowadzenia takowych w instytucie petersburskim). Akt uroczysty zaczął się i zakończył śpiewem i muzyką, w których tutejsi wychowańcy (ociemniali) szczególniej są kształceni, a wybor utworów jakiemi były: „Ojcze nasz” i „Polonez” Moniuszki, wiele też przyczynił się do nadania pewnego rzewnego uroku całemu popisowi. W śpiewie głos jednej ociemniałej głównie zwrócił uwagę, tak był miłym i czystym, a w muzyce gra na fortepianie dwu młodych chłopczyków, którzy z całą starannością i biegłością wykonali potpourri Labitzkiego. Co się tyczy strony naukowéj popisu, to przyznać należy, że na zadawane przez właściwych nauczycieli głuchoniemym pytania z religii, grammatyki, mineralogii, historyi naturalnej, jak również z historyi Rossyi i Polski, odpowiedzi były trafne i płynnie wypowiedziane. Na zakończenie odsłonięto kaplicę, a przed oświetlonym obrazem Chrystusa, odśpiewano hymn dziękczynny, poczem publiczność rozeszła się po całym Instytucie, oglądać pracownie i wyroby 18 rozmaitych rzemiosł. Były tam rzeczy służące do ubrania, wygody i upiększenia, wszystkie bardzo dobrze i starannie wykończone; najwięcej zaś zwracały uwagę wyroby snycerskie, które gustem i pięknością każdego wabiły a ze względu przystępną ceną łatwo znalazły nabywcę. Z gmachu udano się do ogrodu, oglądać urządzoną tamże gimnastykę już lat temu kilkanaście i świeżo założony ogródek botaniczny. Kto widział ten kawałek ziemi przed dwoma miesiącami jeszcze, założony kupą gruzów i śmieci, ten nie mógł wyjść z podziwienia, ujrzawszy dziś zasadzony wszystkiemi gatunkami drzew krajowych, roślinami lekarskiemi, pastewnemi i jarzynami. Wszystko to powstało dzięki niezmordowanej staranności Dyrektora p. Papłońskiego i jednego z miejscowych nauczycieli p. Szymańskiego, któremu też powierzono dalsze pielęgnowanie ogrodu.

* * *

W tych dniach wyszło z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach studyjum psycho-fizyjologiczne Juljana Ochorowicza p. t. „Duch i Mózg” (odbitka z *Niwy*). Dziełko to opatrzone jest drzeworytem odbitym na oddzielnéj karcie a wyobrażającym anatomiczne stosunki nerwów i organów mózgowych. Treść dziełka stanowią następujące rozdziały: I. O materyjalném siedlisku władz ducha w człowieku. II. Rozmieszczenie pojedynczych władz w różnych ośrodkach nerwowych. III. Władze mózgowia. IV. Sprawy duchowe i fizyczne własności mózgu. V. Myśli i komórki Str. 111. Cena kop. 60—z przesyłką pocztą 70. Prenumeratowie życzący sobie nabyć to dziełko, mogą użyć pośrednictwa redakcyi *Opiekuna*. — Skład główny w księgarni Maurycego Orgelbranda. Możemy też pośredniczyć w wysyłce poprzednio już odbitej z „Niwy” powieści p. t. „Papiery po Glince” J. I. Kraszewskiego. Cena kop. 50, z przesyłką pocztową 60 kop.

* * *

PAMIĘTNIKI PANA SYMFORYJONA.

Z notatek po nim pozostałych

SPISAŁ

Walery Przyborowski.

ROZDZIAŁ I.

Jako pan Zygmunt począł u mnie bywać i zakochał się w Sabince.

„....Moja żona, jakkolwiek bardzo dobra kobieta, ma przecież szczególne niekiedy pomysły. Prosiła i prosi, żebym ku wiecznéj pamięci a nauce mego synka Bonawenturki, opisał straszny wypadek jaki miał miejsce w naszéj rodzinie. Wymawiałem ja się długo, nie dla tego, żebym nie mógł pięknie i godnie odpowiedzieć celowi, boć przecie kto jest obywatelem miasta Warszawy a co ważniejsza assesorem Trybunału Cywilnego, ten nie na darmo głowę nosi na karku — ale, po całodziennej pracy nad rozlicznemi sprawami i aktami, człowiek się czuje znużonym i wolałby tę wolną godzinkę czasu poświęcić raczéj miłej pogawędce z przyjacioły przy kufelku piwa, lub czytaniu kuryjerka, aniżeli siąść i pisać i myśleć. Nakoniec wypadek ten w swoim czasie taką mi sprawił przykrość, że przez cały tydzień nie mogłem dobrze spać, ani jeść i co gorsza czułem naruszony cały porządek mego życia i jego przyzwyczajeń, tak dalece, że dziś jeszcze, kiedy o tem myślę nie dobrze mi się robi, Nie chciałem więc pisać dla tych dwu powodów, nie chciałem budzić uśpionych przez czas przyczyn które sprawiły zakłócenia w méj duszy i ciele—ale cóż zrobić z upartą kobietą?

— Mój Symforyjonku napiszesz, napiszesz, szeptała głaszcząc mię po twarzy—toć to ciekawa kiedyś będzie dla naszego syna nauka. Wreszcie lepiéj, że będziesz siedział i pisał sobie w domu, pod moim bokiem, przy mnie, niż żebyś chodził licho wie gdzie, lub cały wieczór przepędził przy obrzydłych kartach.

Obrzydłych kartach! jak gdyby to nie była prawdziwa rozrywka dla umysłu zmęczonego całodzienną pracą. Ale przekonajże kobietę!... jéj się zdaje, że karty są przedsionkiem piekła, owym łyczkiem co prowadzi do koniczka, próżną stratą czasu.

— To zgnilizna! to zabójstwo umysłu, wołała nieraz moja szanowna połowica, to kradzież drogiego czasu! Niechże i tak będzie. Ja na takie apostrofy nic się nie odzywam, bo trzymam się téj mądréj zasady, że najlepiej mało albo nic wtedy nie mówić, kiedy żona krzyczy — wreszcie, powiedziawszy prawdę, jakkolwiek mam głowę nie od pozłoty, to jednakże nic jakoś na obronę kart nie mogę powiedzieć; prócz tego, że są one dla mnie miłą i spokojną rozrywką. To ostatnie dla mojéj żony, powinno być dostatecznem wytłomaczeniem i powino ją wstrzymać od wszelkich napaści na wista lub bezika, ale gdzie tam!... Ja także, gdybym tylko chciał, mógłbym wyprawiać sceny w domu, bo mam po temu powody a przecież tego nie czynię. Każden z was, szanowni czytelnicy, nie byłby zadowolony, gdyby jego żona wydawała huk pieniędzy na rozmaite pisma, Tygodniki, Opiekuny, Niwy, Wieńce i djabli tam wiedzą nie co — gdyby ci całemi godzinami grywała pod nosem, gdy po obiedzie z fajeczką w ustach i kuryjerkiem w ręku siadasz sobie na fotelu do drzemki—gdy ty nakoniec chcesz sobie wieczorem wyjść na miasto do przyjaciół, a ona ci sceny wyprawia... a jednakże ja tego nie czynię dla miłego spokoju, bo spokój nadewszystko lubię. Mimo to są rzeczy, których i ja już przenieść nie mogę. Co środa, bo mojéj żonie zachciało się w środę przyjmować, schodzą się do mnie rozmaici literaci, uczeni, muzycy, artyści i inni wydrwigrosze — bestyje gołe, jak święci tureccy, łby wielkie, rozczochrane, dumne, zarozumiałe. I żeby który z nich choć w wista grać umiał, to by jeszcze pół biedy było, ale to wszystko ni do tańca, ni do różańca. Siedzi to, gada o próżnych rzeczach, deklamuje jakieś głupie wiersze czyta jeszcze głupsze książki i tak śmiertelnie nudzi, że ja zwykle zasypiam w kąciku. Napróżno tłomaczę żonie, że taka hołota żadnéj korzyści ani zaszczytu domowi nie przynosi, że tylko objada, (bo każden z nich jé za dwu) że wreszcie powinna mieć naukę z naszego szanownego pana Zygmunta także literata t. j. pół psa, pół kozy, którego przyjęliśmy na łono rodziny a który taką straszną sprowadził katastrofę jak to obaczycie zaraz. Te moje mądre uwagi, poparte doświadczeniem, nic na niéj nie skutkują. Powiedziała mi nawet kiedyś, że ja tego nie rozumiem, i nie powinienem się w to wtrącać. Na takie słowa, uczułem obrażony mój majestat męża i pana i ojca, i chciałem już z gorącą filipiką wystąpić przeciw méj małżonce, ale że to było po obiedzie, nie chciałem więc przez irytacyją źle wpłynąć na trawienie, i dałem pokój. Szczęściem, że już teraz nie schodzą się do nas aktorki i literatki, jak to za życia pana Zygmunta bywało, żem przecie się pozbył tych dam wraz z jego śmiercią. Ano niech i za to Bogu będzie chwała, że tę chociaż korzyść odnieśliśmy z onéj strasznéj katastrofy. Jestem już teraz spokojniejszy, wszystko u mnie idzie jak w zegarku, co znamionuje człowieka porządnego a z czego jestem bardzo zadowolony. Ale wonczas kiedy pan Zygmunt żył nie tak było. Człowiek to był szczególny i powiem prawdę, choć niby za uczonego i bardzo mądrego uchodził, głupi. Bo przyznajcie sami, kiedy ci jest dobrze, kiedy masz majątek, młodą żonę, spokój, dobre obiady, po co kłaść zdrową głowę pod ewangielję i szukać awantur brudnych... Ale cóż zrobić? ludzie nigdy nie są z tego co mają zadowoleni. Dać kurze grzędę, woła, jeszcze wyżéj siędę. Tak też i pan Zygmunt. W téj głowie zawsze się paliło jak w wulkanie, wiecznie jakieś pomysły niespokojne, kazania, morały, narzekania, słowem czysty komunista. A miał też i minę po temu. Nosił bowiem długą czarną brodę, sumiaste wąsy, długie włosy, mówił jak poeta, w karty nigdy nie grał, całemi dniami gotów był czytać lub chodząc po pokoju myśleć o niebieskich migdałach a po nocach pisać niestworzone jakieś androny, uczone jakieś projekty, statuty rozmaitych towarzystw i t. d. Bogiem a prawdą nie był on stworzony na porządnego człowieka.

Licho nadało, że przed paru laty począł bywać w moim domu. Była ich cała klika — wszystko takie półgłówki zapalone, do niczego niezdolne ciapugrochy. Mówiła mi żona, że to są ludzie wielkich nadziei — ja przecież wątpiłem, choć nie sprzeciwiałem jéj się głośno, bo na co by się to zdało?

— To mi są ludzie! wołała moja Elżusia, to mi życie!... jaki orli w nich polot, jakie płomienne dusze, to nie wy safanduły, biurgery, episiery—to nie wy!

Safanduły, biurgery, episiery! niech i tak będzie, mówiłem sobie—patrzmy jeno końca. Nie powiem przecież tego, żeby mię to nie

---

Bez zaprzeczenia muzyka ma u nas tak wielką liczbę zwolenników, że gdyby oni z równym zapałem zajmowali się całym obszarem nauk, to doprawdy, nie byłoby uczeńszego miastu w Europie. Dla tego nie możemy pominąć faktu który w tych dniach przebrzmiał, niemożemy zamilczać o popisach konserwatoryum muzycznego, téj szkoły, od której rozwoju i kierunku zależy przyszłość nasza... muzyczna.

Przedewszystkiem nadmienić wypada, że wrażenia wyniesione z tegorocznych popisów o wiele są poważniejsze niż z lat ubiegłych. Mniéj teraz uderza w oczy uganianie się za powierzchownym efektem, a więcéj znać uwzględnienia dla klasycznych utworów które przeważnie w tym roku program zapełniały.

Nawet p. Pane nauczyciel śpiewu wystąpił teraz z utworami Glucka, Mendelssohna etc. zapominając o swych ziomkach, podczas gdy w przeszłym roku kazał uczniom hołdować przeważnie prawie Verdi'emu, co ma się rozumiéć nie mogło wyjść na ich korzyść.

Należałoby tylko ażeby p. Pane uczący śpiewać utwór np. Glucka, tego na wskroś dramatycznego twórcy, więcéj zważał na deklamacyją, więcéj przenikał myśl tekstu. Główny motyw aryi z Orfeusza powtarzający się kilkakrotnie, powinien być za każdym razem nacechowany innem uczuciem jak tego właśnie słowa wymagają, kiedy tymczasem panna Kluczenko śpiewała go zawsze jednakowo, zawsze obojętnie—a jeszcze obojętniej akompanjował jéj sam nauczyciel bez cieniowania, bez charakterystyki, chociaż za to silnie... niestety zabardzo!

Klasy fortepianowe zaszczyt przynoszą swej szkole; profesorom możnaby tylko uczynić uwagę, że może zbyt nieoględnie powierzają dzieła do wykonania swym uczniom. Wolelibyśmy słyszeć jaką skromną sonatę Beethowena, a chociażby Mozarta, którąby dostatecznie na popisach świadczyć mogła o kierunku i zasługach nauczyciela, niż koncerta np. Chopina niestojące na równi z duchowym rozwojem i mechanizmem grających. To samo da się zastosować do klasy skrzypiec... powierzanie koncertów Beethowena lub Vieuxtemps'a w dziecinne ręce jest czynem jeżeli nieszkodliwym to w każdym razie niestosownym.

Ile to czasu dzieci te spotrzebować musiały na wyuczenie się tych koncertów do których odegrania pierwszorzędni wirtuozi z trwogą przystępują? Czy nie lepiej było ten czas poświęcić ćwiczeniom mechanicznym lub studyjom stylowym w zakresie nie przechodzącym sił uczniów? Pozwolimy sobie nawiasowo zrobić uwagę że koncert Vieuxtemps'a błędnie był pojęty. P. Michalski prawie co kilkanaście taktów zmieniał tempo tak że rozkawałkowane tym sposobem *Allegro* przybierało nieraz postać *andante*, co na formę kompozycyi nie mogło korzystnie wpłynąć i czego sobie Vieuxtemps nie życzył, bo w partycyi pomimo znanéj skrupulatności, żadnych w tym względzie znaków nieumieścił.

W tym roku poraz pierwszy profesor wiolonczeli p. Goebelt przedstawił swego ucznia p. Bojnowskiego. Wstrzymujemy się jeszcze z sądem o grze jego, zwracając tylko uwagę na niedosyć wyrobione gammy i pasaże. Panu Studzińskiemu za kierunek chórami należy się słuszne uznanie.

* * *

Czajkowski Michał wydał powieść słowiańską p. t. „Bułgaryja." Dr. Ldwik Kubala rozprawę p. t. „Handel i Przemysł za czasów Stanisława Augusta." W Krakowie wyszło bezimienne studyjum p. t. Adam Mickiewicz i pisma jego do r. 1829. Dr. Roman Pilat wydał studyjum „O literaturze politycznéj sejmu czteroletniego," 1788—1792. W tych dniach wyjdą w Krakowie nakładem wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych poezyje **Stanisława Grudzińskiego.**

obrażało. Jak bowiem można porządnego i spokojnego a co ważniejsza zamożnego obywatela porównywać z jakiemiś tam awanturnikami, poetami i literatami gołemi jak Bóg przykazał, którzy dla tego, że nic nie mają więc wykrzykują na obywatela — a co gorsza jak można tego obywatela nazwać jakimś tam episierem safandułą! Tylko spokój i powolna a cicha praca wiedzie społeczeństwo do dobrobytu i cywilizacyi. Każden taki jak ja obywatel, to kolumna w towarzystwie ludzkiem, to jego podstawa. Ale co to o tem kobietom mówić? Ja też nic nie mówiłem ale w duszy srogie czułem oburzenie na tę hołotę i na moją żonę. Oni to widzieli i przypodchlebiali mi się jak mogli, ale to na nic się nie zdało. Jeden z nich np. pan Kazimierz, przyjaciel od serca pana Zygmunta, który powiedziawszy nawiasem, nigdy nie miał obcasów przy butach a łeb biały jak księżyc, rozczochrany jak strzecha na stodole i wyglądał na rozbójnika, mówił pewnego wieczora, że pisze wielkie dzieło o małpach.

— A proszę pana, przerwałem, czy pan dobrodziéj widział kiedy małpę? bo u nas ich przecie nie ma.

— Owszem panie są i bardzo obficie—jeśli pan dobrodziéj pozwoli, to go umieszczę w mojem dziele.

Pochlebiło mi to nieco być wydrukowanym w uczonem dziele, ale pomyślawszy sobie, że nie należy swego obywatelskiego nazwiska pospolitować, odmówiłem grzecznie. Tacy to byli ci panowie literaci. Jeszcze ten pan Kazimierz no! to do wybaczenia, bo to było gołe jak pierwsi rodzice, bez żadnego stanowiska ani zajęcia, więc wzięło się do literatury i idee paryskiej komuny rozsiewało po świecie—ale pan Zygmunt, urzędnik, obywatel, bo jego matka miała porządną kamienicę na Zapiecku, człowiek przecież już z pewnem stanowiskiem, żeby się mieszać do takiéj hołoty, to było na prawdę dziwnem i dla mnie niezrozumiałem. Ale to już tak: kogo Pan Bóg ma ukarać, to mu najprzód rozum odbierze.

Kiedy więc moja żona poczęła przyjmować we Środy zaraz zjawił się pan Zygmunt, który miał rozgłośne już imię, bo nawet i w Kuryjerku nieraz o nim pisało. Przyjmowałem go grzeczniéj jak innych, boć to było przecież obywatelskie dziecko, syn zamożnych rodziców i jako urzędnik, już z pewnem stanowiskiem na świecie. Przynosił on, albo który z jego towarzyszy zwykle jakąś książkę lub jaki swój utwór, czytali głośno, rozprawiali o literaturze,... czasem jaki muzykus zagrał na fortepianie, lub zaśpiewał — jaka aktorka zadeklamowała, ot i wszystko. Wieczór taki był porządnie nudny, ja też zwykle, jakem to już wyżéj wspomniał, zasypiałem sobie w kąciku. Wkrótce po Warszawie rozniosło się o tych u mnie wieczorkach literackich, jak je nazywano, a nawet w Kuryjerku o nich się znalazło. Koledzy moi pytali mię co to znaczy? wstydziłem się, chciałem się tego pozbyć, ale się nie dało, bo jak się kobieta uprze, to już jéj nie przeprzesz. Aż też i przyszła katastrofa!...

.....Pan Zygmunt jako bardzo przystojny, zamożny i elegancki mężczyzna, podobał się wszystkim kobietom. Nazywano go powszechnie Don-Żuanem, Lowelasem i tym podobnemi przezwiskami. Sława taka już jest wystarczającą ażeby zwrócić na siebie uwagę kobiet—to też co chwila można było słyszeć o jakimś romansie pana Zygmunta. Ostrożnie choć grzecznie przyjmowałem go więc u siebie, bo moja Elżunia, jakkolwiek po dwojgu dzieci, była jeszcze bardzo piękną kobietą. Ale że djabeł zawsze czycha na ludzką duszę, więc też i teraz nie Elżusia ale za to jéj siostra rodzona panna Sabina padła ofiarą. Była bo też to dziewczyna bardzo a bardzo piękna. Młodziutka, bo nie liczyła więcéj nad ośmnaście lat, pulchna jak pączek w maśle, wesoła, rumiana jak róża, miała włoski jak złoto jasne i błyszczące, oczy jak dwa bławatki, usta rumiane, uśmiechnięte, roskoszne, tak, że ja nieraz, choć ojciec dwojga dzieci i czwarty już dźwigając krzyżyk, nie mogłem się wstrzymać, by ich nie ucałować. Ano, była to panna bardzo dobra i partyja nie lada—ananas dziewczyna! Mająteczek też był, wprawdzie niewielki, ale zawsze coś znaczący, zdrowa, dobrze zbudowana, zawołana gospodyni, a weselutka jak młoda koteczka. Grała na pantaljonie, występowała nawet raz w żywych obrazach na korzyść ubogich; tańczyła prześlicznie, miała dobre serce, dzieci kochała tak bardzo, że jak tylko u mnie była, dalejże moje bębny całować, ściskać, hołubić. Już to przyznać należy, że na gospodynię, na żonę i matkę, na porządną obywatelkę jak w sam raz Sabinka była stworzona. Nie bawiła się ona jak moja Elżunia, choć także dobra kobieta, w literaturę i w wieczory literackie, nudziła się słuchając uczonych rozmów tych panów, śmiała się i z nich, i z pism, jak przystało na każdą niewyemancypowaną niewiastę, czytała tylko Kuryjerka i to nie żadne tam mądre artykuły w jakie już i Kuryjerek poczyna się bawić, ale przejrzała co się dzieje w mieście, kto wyszedł za mąż, kto umarł, jaki ksiądz będzie miał jutro nabożeństwo, wiele kosztują ryby, grzyby i t. p. jak stoją listy zastawne — słowem zajmowało ją to, co każdą cichą i praktyczną kobietę zajmować powinno. Była to wzorowa panna. Ja też, kiedy mi już bardzo za skórę zalazły te literackie wieczory i uczone rozprawy, stawiałem méj żonie za wzór Sabinkę.

— O! to mi będzie żona, praktyczna, nie emancypantka, nie literatka, dobra gospodyni — proszę iść na obiad do matki, co tam przysmaczków zawsze, jakich wybornych!... ona zna tylko jedną książkę — 365 obiadów pani Ćwierczakiewiczowéj, a nie tak jak ty!...

Ale co to było gadać. Te moje mądre słowa padały na Elżunię jak groch na ścianę. Czy uwierzycie, że kiedyśmy się pobrali z moją żoną, kupiłem zaraz na drugi dzień 365 obiadów, kazałem pięknie oprawić i dałem Elżuni—czy uwierzycie, że ta jedna książka, mająca tak wielką, nieoszacowaną doniosłość, w parę miesięcy zaginęła gdzieś jak kamień w wodę!... I cóż tu robić z taką kobietą?...

Już to jedna tylko moja żona wyrodziła się z całéj familii Dwie jéj siostry: Sabinka jeszcze panna i Paulina już wdowa najstarsza ze wszystkich, były wzorowemi kobietami, prawdziwemi córkami obywatelskiemi. Tyle tylko, że wdowa Paulina licząca już około czterdziestu lat, zaczęła się robić ogromnie nabożną, a że bogata, lękałem się i lękam, by swego majątku nie zapisała księżom. Całe bowiem dnie przepędza w kościele, szyje poduszki, ornaty, kapy, komeżki, całuje proboszczów po rękach, i co miesiąc chodzi do spowiedzi.. To zresztą jedyna jéj wada. Serce bo bardzo dobre, praktyczna, oszczędna, gospodarna, a nie bawiąca się w emancypacyją i literaturę. Jedna tylko moja Elżunia, jak to sami widzicie, była całkiem inną. Nazywała ona swoje siostry gęsiami, episierkami, biurgerkami i tym podobnemi epitetami, których i mnie nie szczędziła. Ale co tu teraz robić? trzeba ciągnąć daléj taczkę życia i zachowywać się biernie, by nie burzyć miłego spokoju w domu.

Sabinka wraz z wdową Pauliną bywały u mnie co środa, matka ich bowiem, jako już kobieta w wieku, rzadko bardzo przychodziła. Tutaj też poznała pana Zygmunta. Wesoła, trzpiotowata, śliczna nad wyraz a pieniężna, musiała mu się podobać, tym więcéj, że jak się sam nieraz odzywał, pragnąłby się ożenić i skończyć to życie bez celu i wygód, czego i matka jego, staruszka bardzo miła, życzyła sobie serdecznie. Ja też z méj strony, zobaczywszy, że się młodzi mają do siebie, nalegałem na Sabinkę, by nie odrzucała takiéj dobréj partyi, ale owszem chwytała ją rękami i nogami.

— Co to moja Sabinko! masz lat ośmnaście, czas już za mąż, kobiecie źle saméj —pan Zygmunt, syn obywatelski, ma kamienicę na Zapiecku, urzędnik, młody, przystojny, trzeba brać!...

— Ach mój Symforyjonku, szeptała dziewczyna zarumieniona cała — zobaczymy, zobaczymy jak go pokocham i on mnie pokocha to dobrze, nie inaczéj!..

— Pokocham! on mnie pokocha! tere fere kuku!.. miłość się znajdzie po ślubie! myślałem, że praktyczniej patrzysz na życie!... fiu! fiu! co tam się bawić w romanse, to dobre w książkach ale nie w rzeczywistości.

— Zobaczymy! zobaczymy! szepnęła, porwała się i uciekła.

— No! to dobrze, mówiłem do siebie—już ja ich tu pobiorę—moja w tem rzecz.

Tak więc sam przykładałem się do ich połączenia, nie wiedząc jak straszny los dla Sabinki gotuję. Ano któż mógł przyszłość przewidzieć? Widziałem, że pan Zygmunt jest porządny człowiek, lubi się wprawdzie bawić w miłostki, ale któż tego nie lubił gdy był młodym, — kto się ożeni, to się odmieni, ustatkuje się i będzie przyzwoitym. To było gorszem, według mego zdania, że był niepraktyczny, miał w głowie przewrócone, układał rozmaite projekty, zawiązywał stowarzyszenia, wszędzie był, do wszystkiego należał, wdawał się z temi goliatami literatami, pisywał uczone artykuły i t. d. ale zdało mi się, że jak będzie żona, a co za tem idzie i dzieci, to z głowy, one próżne rzeczy wywietrzeją — w każdym razie pan Zygmunt był partyją nie do pogardzenia, gdym więc widział, że młodzi coraz bardziéj lgną do siebie, coraz więcéj nalegałem na Sabinkę. Co potem nastąpiło opowiem w przyszłym rozdziale. *(d. c. n.)*

ZAPISKI

z podróży po Europie,

PRZEZ

J. Gordona.

(Ciąg dalszy).

Suchotnice w Nicei i coś więcej jeszcze.

Mój najęty *vetturino* zajechał ze swą jednokonką; wskoczyłem do niej i puściłem się w drogę ku Nicei. Miałem się tam połączyć z przyjacielem moim S***, czuwającym nad siostrą swoją, która spędzała ostatnie chwile żywota w tem miłem nadmorskiem ustroniu, otoczonem skałami, gdzie nie ma prawie zimy ani wiatrów szkodliwych na płuca. Tam to zjeżdża corocznie mnóstwo naszych rodaków, tudzież cudzoziemców różnych narodowości, którzy zamiast cuchnących wód mineralnych wolą napawać się balsamicznem powietrzem, zaprawnem promieniami słońca.

Niceę najbardziej zaludniają obcy, podczas jesieni i zimy. Wtedy jest przepełniony gośćmi cały szereg wytwornych hotelów, składających najpiękniejszą część miasta, które było w swoim czasie ulubionem miejscem pobytu naszego poety Zygmunta Krasińskiego; gdzie także kilku rodaków stale dotąd zamieszkuje, i gdzie znakomity powieściopisarz francuski, Alfons Karr, ma willę i ogródek, prześliczny ogródek, w którym pielęgnuje krzewy i kwiaty, tak namiętnie ukochane przez niego.

Pokazano mi w hotelu godło Nicei. Jestto kobieta w hełmie, przyozdobiona w zbroję, z odkrytą atoli piersią i srebrnym krzyżem na sercu. W prawej ręce trzyma miecz, a w lewej tarczę z orłem. Sama zaś stoi romansowo na skale w zielonem polu, kąpiącem się w falach morskich. U jej stóp leży pies, znak wierności, z napisem „Nicaea fidelis”.

Można się na ten napis śmiało rozśmiać, homerycznym śmiechem. Gdyby to był napis: *canis fidelis*, jeszczebym uwierzył, ale *Nicaea fidelis* wielką budzi wątpliwość, zwłaszcza dla obecnego rządu francuskiego. W każdym razie pochlebny to dla miasta herb! Wszelako właściwszymby jego symbolem była zalotnica, miękko spoczywająca na murawie w lazurowem podniebiu i przeglądająca się w niebieskiem wód zwierciadle, w cieniu kwitnących pomarańcz, z rozplotami włosów, z któremiby lubieżnie igrał zefir zalatujący z morza.

Cokolwiekbądź, owej Wenerze nicejskiej, choć nosi kruszczowy krzyż na łonie, mniejbym dowierzał, niż naszej słowiańskiej Ładzie, z sercem przezroczystem!

Nic tak nie jest zalotnie roskosznego, jak Nicea w pogodny wieczór jesienny, gdy płaszczyzna zatoki genueńskiej zaledwie zmarszczona lekkim powiewem wiatru, co do niej w zalecanki przyleciał z Sewilli, mruczy łagodnie i w muszelki nadbrzeżne dzwoni, a gwiazdy spadające jej przyświecają, niby deszcz ognisty.

Wtedy choćbyś był najbardziej zmęczony, wyjdź na przechadzkę, zwaną tarasem. Wyjdź tam koniecznie, pamiętaj! gdyż drugiej takiej przechadzki napróżno byś szukał na świecie.

Obaczysz tam mnóstwo niewiast delikatnych, wątłych i bladych z błyszczącemi oczyma; mnóstwo biedaczek, co niemogłyby żyć gdzieindziej, a które każdej zimy przybywają, jak haracz jaki, umierać w Nicei.

Arystokratki rodu i bogactw z Westminsteru, z przedmieścia St. Germain; warszawskiej ulicy Senatorskiej, razem tam napotkasz; ale wszystko to jedno, bo śmierć je wszystkie zmiecie, chociaż Angielkę chwilką pierwej od Polki i Francuzki, lub przeciwnie.

Za to ujrzysz mężczyzn w dobrem zdrowiu i zdawać ci się będzie, iż przybyli oni z poświęcenia, żeby oddać cząstkę sił swoich owym uroczym umierającym, które widzisz przesuwające się wdzięcznie, niby nocne rusałki, z lornetkami w ręku, przy świetle księżyca. Nie zapominaj, że to suchotnice.... istoty już nie tego świata, chociaż na tym świecie, i bądź dla nich wyrozumiałym!

Ujrzysz tam także spacerujących księży, ale nie takich bez pretensyi, jak u nas, co to chodzą w rewerendach i juchtowych butach; obaczysz tam zgrabnych księżyków, podobnych do tych, którzy zamieszkują marmurowe pałace Rzymu, księżyków wypasionych cukierkami i konfiturami, o pachnącej fryzurze, w czarnych jedwabnych pończoszkach i lakierowanych trzewiczkach ze złotemi sprzączkami, księżyków, którzy uczyli się spowiadać i przysposabiać na śmierć białogłowy w stolicy apostolskiej.

I dla tych ostatnich bądź wyrozumiały, boć to naśladowcy Chrystusa!

Co jednakże nie przeszkadza, iż mimowolnie zadasz sobie pytanie, czy to wszystko nadaje Nicei postać uzbrojonej Minerwy, i czy godło „fidelis”, które wyczytałeś na herbie, można brać dosłownie?...

Gubernator Nicei (a teraźniejszy prefekt) wydaje bale, gdzie łatwo także spotkać się, a nawet i poznajomić z pięknemi, chociaż nieco podeschłemi, przybyłemi do tego miasta na kuracyję cudzoziemkami. Wiadomość dla panów kawalerów!

Lecz dziwne mają Nicejanie pojęcia o Polakach i w ogóle o ludziach z północy. Im się zdaje naprzykład, że my znamy słońce tylko z tradycyi, a ananasy jeno z nazwiska, że nie jadamy innych dojrzałych owoców prócz pieczonych kartofli.

Nieświadomość taka jest wstrętną dla przybysza, jak niemniej wstrętnym dla niego jest rodzaj stagnacyi, spoczynku, będącego pierwszą potrzebą Włochów. Skutkiem lenistwa, czyli raczej łatwości życia, jakie w swym błogosławionym kraju prowadzą, nie posiada Nicea ruchu przemysłowego. Nie ma tam żadnej fabryki, z wyjątkiem kapeluszy słomkowych, przez młode dziewczęta wyplatanych.

W obec nałogowego spoczynku, rozrywki nawet są dla Nicejan podrzędnym przedmiotem.

Ale za to dzwonnicy kościelni mają u nich dużo do czynienia, zarówno we dnie, jako i w nocy, więcej niż Quasimodo Wiktora Hugo.

Nasyciwszy się ciekawościami Nicei, postanowiliśmy z panem S*** zrobić wycieczkę do Genui. Mieliśmy więc razem przebyć tę słynną z malowniczości drogę, zgiętą w łuk nadmorski, zwany *corniche*, rozwiniętą jakoby płowa wstęga u podnóża zielonych Apenninów.

Pasmo tych gór jest w wielu miejscach poprzerzynane dolinami zagajonemi borem drzew palmowych, oliwnych, tudzież cytryn i granatów, z pośród którego wyglądają tam i owdzie murowane wioski, zwaliska starych zamków i miasteczka z kopułami na kościołach i dzwonnicach.

Szło tylko o znalezienie dobrego *vetturino*, coby nas do Genui zawiodło; podróż bowiem miała trwać trzy dni; a nie radziłbym nikomu tłuc się ciężkim dyliżansem pocztowym po drogach włoskich, tem zaś mniej być zamkniętym w pudle na żelaznych szynach w tych właśnie miejscach, gdzie cały amfiteatr niebieski wraża się do duszy.

Stokroć już lepiej iść piechotą, lub w ostateczności zdać się na dorożkarza (vetturino).

Mówię „w ostateczności”, gdyż nieszczęsny wędrowiec nie ma wyobrażenia, co się to z nim dziać będzie, gdy się wda z dorożkarzami; chyba że był za moich czasów w Warszawie na Franciszkańskiej ulicy, i szarpali go żydkowie na wszystkie strony, zanim kupił u nich towar. *(d. c. n.)*

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Bolesław Chrobry przez *Augusta Mosbacha*. 1871,— str. 28. **Wyprawa Bolesława Wielkiego.** Napisał *Jan Karłowicz*. 1872. *Poznań*, str. 32.

P. *Mosbach*, znany badacz na polu naszych dziejów, w broszurce swojej streścił ogólny pogląd na panowanie jednego z największych królów polskich, opierając swoje zapatrywanie się na faktach powszechnie uznanych, których ani krytykuje, ani w innym przedstawia świetle. Oswobodzenie Polski od zwierzchniczej władzy rzymskich (t. j. niemieckich) cesarzów, założenie metropolii duchownej w kraju, a zatem uwolnienie kościoła od stanowiska zależnego względem arcy-biskupów niemieckich; chęć rozszerzenia oświaty chrześcijańskiej wśród Słowian północnych (ś. Wojciech, ś. Brunon); obrona ludu od ucisku butnych panów, którzy zapatrując się, zdaniem p. Mosbacha, na baronów Germanii, chcieli wynieść się nad prawo; sprawiedliwość względem wszystkich—oto główniejsze tytuły do „wdzięcznej pamięci potomnych dla największego zdobywcy swojego czasu,“ jak niemiecki historyk Giesebrecht, Bolesława nazywa. Nie jestto jednakże mowa tylko pochwalna. P. M. nie tai, że ustawiczne wojny przyczyniły się do upadku właścicieli małych posiadłości, co los ich późniejszy znacznie pogorszyć miało, sprowadzając poddaństwo; że wyludniony kraj, Bolesław starał się zapełnić brańcami wojennemi, skąd powstały osady nieposiadające również wolności. Zsumowawszy atoli dobre i złe, zawsze znajdziemy przewagę pierwszego. Rozprawka pisana jest językiem płynnym, w wielu jednak miejscach niepoprawnym np. „kanony uznając i na siebie *być postanowione*“ (str. 17) i t. p., p. *Karłowicz* w pracy swojej zwrócił uwagę tylko na jeden fakt t. j. na wojnę z Rusią r. 1018, o której dotychczas bardzo mętne mieli historycy wyobrażenie, nie zbadawszy gruntownie źródeł i wierząc więcej późniejszym aniżeli spółczesnym. P. K. opiera się głównie na *Dietmarze*, wykazując u *Galla* i *Nestora* pomieszanie dwu wypraw dwu Bolesławów (*Chrobrego* 1018 i *Śmiałego* 1058). W skutek tych zestawień wyprawa Chrobrego tak się nam przedstawia: Bolesław dla osadzenia Świętopełka na tronie udał się na Ruś latem 1018; pobił Jarosława nad Bugiem w Lipcu, zdobył Kijów, osadził Świętopełka na tronie i wracając do Polski z dobrej woli, a nie w skutek wyrznięcia załogi polskiej, odebrał grod Czerwieński i pod koniec Września z tryjumfem do kraju powrócił. Na tem właściwie kończy się rozprawka co do samej wojny;—od str. 25—32 znajdujemy krytykę Naruszewicza i Długosza. Styl jędrny i zwięzły, rozumowanie ścisłe.

P. Ch.

Szkice z życia zwierzęcego — przełożył z *G. H. Lewes'a* Artur Popławski (dodatek do Tygodnika „Przyroda i Przemysł“.)

W ostatnich czasach, wielu uczonych, szczególniej angielskich i niemieckich, zajmuje się gorliwie popularyzowaniem nauk przyrodzonych. Do takiego popularyzowania biorą się zwykle, najznakomitsi uczeni, którzy wypowiadają głębokie prawdy w bardzo prostych i jasnych słowach; dla tego też popularyzowanie odnosi pomyślny skutek, zapoznaje bowiem znaczne kółka ludzi ze zdobyczami i rezultatami nauki.

Taką właśnie popularną pracą, są: „Szkice z życia zwierzęcego”, p. G. H. Lewes'a. Autor (w 6-o rozdziałach swéj książeczki) rozbiera bardzo wiele ciekawych kwestyj, tyczących się życia najdrobniejszych istot jako też — sposobu ich odszukiwania; dalej prowadzi swoich czytelników na exkursyją nad kałużę, z której przypomocy czerpaka, wydobywa różnorodnych mieszkańców wodnéj krainy, zapoznając kolejno z ich budową i obyczajami, tym sposobem rozbudza zamiłowanie do badania natury na każdym kroku.

W dalszym ciągu „Szkiców” czytelnik poznaje sposoby ochrony życia, niektórych istot; dalej wyłożoną jest klassyfikacyja zwierząt i pożytki z niéj,—określenie gatunku, jego zmienność, zarzuty przeciwko teoryi przemiany gatunków. Następnie autor zapoznaje nas z tworzeniem się pereł, z pojęciami organu, osobnika, kolonii (osady) i kończy niektóremi szczegółami z życia wielkiego I. Cuviera, a mianowicie zestawia Cuvier'a jako młodzieńca z Cuvier'em jako mężem stanu.

„Szkice z życia zwierzęcego” napisane są łatwo, przystępnie i zajmująco,—dla tego też każdy najmniéj nawet, obeznany z naturą, może je czytać z przyjemnością i odnieść pewną korzyść. Tłomaczenie staranne i dokonane czystym językiem. Należy jednak zrobić uwagę, że niektóre fakta przybyły już zapewne, od czasu napisania po angielsku tej książeczki, tak np. od kilku lat znany jest już światu uczonemu samiec *przekopnicy* (Apus) znaleziony i opisany (po polsku i po niemiecku) pierwszy raz przez prof. Kozubowskiego z Krakowa. Toż samo, da się powiedzieć o klassyfikacyi, która w „Szkicach” jest przestarzałą i ze zmylkami np. przy podziale Stawowatych powiedziano, iż te dzielą się na: *Pierścienice*

(Annulata) „np. *Robaki*,“ a przecież robaki składają całą gruppę (typ), której jednę tylko część stanowią pierścienie. *A. Śl.*

ROZMAITOŚCI.

W ostatnim zeszycie wybornego rosyjskiego czasopisma, wychodzącego w Moskwie p. t. *Biesieda* — znajdujemy ciekawe szczegóły dotyczące **kwestyi szkół i oświaty w Poznańskiém**, któremu grozi obecnie nowy wylew germanizmu. Zobaczymy w jaki to sposób bohaterowie z pod Sedanu bronią sprawy cywilizacyi i postępu:—„Skutkiem rozlicznych warunków plemienna walka Niemców i Słowian w ostatnich czasach coraz szersze przybiera rozmiary, tracąc swój skryty charakter i rozpłomieniając się jawnie. Walka tych plemion o byt, przejawy której mieliśmy sposobność niejednokrotnie już wskazywać, do tego stopnia się rozwinęła, że stanowi już bardzo znaczący fakt historyczny. Na całéj linii zawrzał ogień; gdziekolwiek spojrzymy, wszędzie uderzą nas symptomata rozpaczliwych wysiłków ze strony Słowian, aby obronić swoję narodowość od łącznego naporu Germanów. Widzieliśmy, jak on jest ciężkim i bezwzględnym w Czechach; przenieśmy się do polskich prowincyj pod panowaniem Prus zostających, a ujrzymy prawie te same zjawiska. Oppozycyja Polaków przeciw nowemu prawu **o nadzorze szkolnym** wywołała jak wiadomo, sławne odezwy Bismarka; minister prezydujący użalał się na niepowodzenie germanizacyi Poznańskiego, ohydzał związek Polaków z partyją ultramontańską i ogłaszał swój zamiar wzmocnienia przedsięwziętych dotychczas środków, celem nadania żywiołowi niemieckiemu odpowiedniego znaczenia w polskich prowincyjach w widokach szybszego ich zniemczenia i odwetu za opór polityczny. Dzisiaj widocznem jest, że Bismark rzeczywiście chce dotrzymać danego słowa. Świadczy o tém cały szereg przedsięwziętych już środków, które widocznie stanowią tylko początek wykonania rządowego programu. Najprzód dano uczuć Polakom zmianę porządku rzeczy w czasie rozpraw sejmowych nad projektem reformy okręgów ziemskich i rozszerzenia miejscowego samorządu. Projekt ten chociaż zmieniony cokolwiek w sejmie w duchu więcej liberalnym, stanowi jednak bardzo szczupłe rozszerzenie autonomii, a przytem nadaje daleko więcéj samoistności drobnym gminnym organom samorządu, aniżeli prowincyjonalnym zebraniom ziemskim. Lecz nawet i tych lichych okruchów samodzielności odmówiono Polakom; projekt stanowił wprost, że Poznańskie i Prusy wschodnie, są wyłączone od nowych swobód skutkiem wyjątkowych warunków miejscowych. Deputowani Polscy Kantak i Szuman protestowali przeciw temu niczem nieusprawiedliwionemu ograniczeniu, powołując się na ciągłą spokojność polskich prowincyj, na ich przywiązanie do legalnego porządku; ale wszystkie te protesty pozostały bez skutku. Minister Spraw Wewnętrznych hrabia Ejlenburg dał do zrozumienia, że samorząd obecnie daje się w charakterze nagrody i zachęty tym tylko obywatelom królestwa pruskiego, którzy rzeczywiście okazali, że całą duszą i ciałem są mu oddani, i że gotowi są stanąć mężnie w jego obronie. Ministeryjum myśli zapewne, jak słusznie zauważyły „Narodni Listy“, przywiązać do siebie Polaków duszą i ciałem za pomocą podobnych krzywdzących ograniczeń. Dziwna omyłka, a właściwie mówiąc, niezręczna wymówka! W dziele tém książę Bismark znalazł dzielnego pomocnika w osobie nowego ministra narodowéj oświaty doktora Falka, którego wejście do ministeryjum niedawno jeszcze było witane przez wszystkich, jako era liberalizmu i postępu w oświacie narodowéj. Minister ten nadzwyczaj gorliwie wziął się do wyszukania sposobów ostatecznego ograniczenia rozwoju narodowości polskiej. Zwołał on w Berlinie osobną kommisyją z osób, oględnie wybranych z pomiędzy pedagogów, znanych już w poznańskiém ze swéj gorliwości w sprawie germanizacyi; kommisyja ta zasiadająca pod prezydencyją samego ministra, powinna wypracować zasady, za pomocą których będzie można zupełnie paralizować działalność polskich szkół, a szczególniej początkowe nauczanie, szczepiące dotychczas w uczących się narodowe przesądy. Zajęcia kommisyi postępują podobno dosyć szybko i w niedalekiej przyszłości, zapewne będziemy świadkami germanizatorskiéj reformy wszystkich polskich szkół.

Tymczasem przedsięwzięto już środki dla rozłączenia nauczycieli i professorów gimnazyjum z polską partyją, zabroniono im obecnie należyć do jakichkolwiek towarzystw, orfeonistycznych, gimnastycznych, gospodarczych, uczonych i innych, gdyż cele tych towarzystw nie mają nic wspólnego z wyższemi celami państwa, któremu nauczyciele powołani są służyć. Nie tylko za pomocą elementarnego i średniego wykształcenia rząd zamierza rozkrzewić germanizacyję między Polakami; słysząc oddawna o ich życzeniu utworzenia polskiego uniwersytetu w Poznaniu, aby mogli uniknąć konieczności posyłania swych dzieci do czysto niemieckiego uniwersytetu w Królewcu, rząd odrzucił te projekta i zamyśla wyrobić także w sferze wyższego wykształcenia podstawy dla swoich zamiarów; dlatego też chce założyć uniwersytet niemiecki w Bydgoszczy, którego umieszczenie pośród ludności polskiéj, zapewni niewątpliwie napływ polskiéj młodzieży na lekcyje professorów germanizatorów. Najsmutniejszém zjawiskiem jest to gorące współczucie, z jakiém większość organów prassy niemieckiéj wita wszystkie te działania. Przyklaskują im nie tylko przedajne gazety jedynie, lub organy patryjotów wątpliwéj uczciwości, jak to widzimy w Cislejtanii, ale i te pisma, te osobistości, których wszyscy przywyczaili się widzieć na straży postępu, których uważają za ozdobę literatury i publicystyki, to nie często się spotyka i mimowoli smutne wywołuje myśli. Widać, że nienawiść do Słowian rzeczywiście jest uczuciem plemiennem, przyrodzoném porywającém w swoje nurty zarówno mściwe i ambitne charaktery, jak więcéj serdeczne i dobre organizacyje. Do tego prawdziwie instynktowego uczucia, dołącza się także i świadomość wyższych politycznych względów. „**National-Zeitung**“ nawet ze szczególną pychą wspomina o wszystkich tych w różnych czasach podjętych usiłowaniach dla umocnienia państwa; w Szlezwigu mówi ta gazeta, zabezpieczyliśmy siebie od północnego wroga i staliśmy się współwładającemi razem z duńskim narodowym elementem; przyszedł rok 1866 i przemogłszy partykularyzm wzmocniliśmy państwo przyłączając szereg prowincyj; teraz dokonywają się *zacne* usiłowania, w celu utrwalenia pokoju i wzmocnienia władzy na wschodzie królestwa“. Ciemnéj strony obrazu jakby zupełnie nie było: i Szlezwig przyłączony przemocą, bez głosowania mieszkańców, w téj kwestyi, która wchodzi już dziś jako zasada w skład prawa międzynarodowego, i państwa niemieckie, które straciły skutkiem przyłączenia do Prus wszelką autonomiją i samoistne życie, — wszystko to mówi niemieckiemu sercu o wzmocnieniu potęgi niemieckiéj; fakt zdeptania wolności państw, narodów i jednostek, blednieje w obec schlebiającego miłości własnéj poczucia jednéj wszechpotężnéj Germanii.“

* * *

Biblijoteki pedagogicznéj i dydaktycznéj wyszedł zeszyt I-szy obejmujący ustawy komisyi edukacyi narodowéj dla stanu akademickiego i dla szkół Rzeczypospolitéj przepisane w Warszawie r. 1783. Wydał Stanisław Sobieski.

* * *

We Lwowie, w Poznaniu i w Toruniu rozpoczęto zbierać składki na **pomnik dla Moniuszki** i fundusz dla jego rodziny.

* * *

Izydor Lotto otrzymał posadę nauczyciela gry skrzypcowéj w konserwatoryjum muzycznem w Strasburgu.

* * *

W cesarstwie niemieckiem istnieje obecnie **60,000 szkół elementarnych** do których uczęszcza około 6 miljonów dzieci.

* * *

W początkach b. m. ma wychodzić w Poznaniu nowe pismo poświęcone specyjalnie *sprawom drukarskim*.

ZAGADNIENIE.

Określić, czy jest błędem i dlaczego użycie spójnika *a* w następujących zdaniach: „Nie chodziłem do kościoła *a* do ogrodu“—„Nie żołnierzem będę *a* lekarzem“ i t. p.; — a następnie wyjaśnić jasno i dokładnie, i przykładami poprzeć właściwe użycie tego spójnika.

Pierwsze dokładne rozwiązanie ostatniego zagadnienia, nadesłał p. N. T. Promień koła wynosi 8 łokci i 20 cali.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *Panu Janowi G. w Nowo-Radomsku.* P. An. Jam. zapłacił tylko za I-szy kwartał. Nie odbierając należności — od 22-go numeru wstrzymaliśmy wysyłkę. Ponieważ pan chcesz odbierać Opiekuna w dalszym ciągu, przeto wysyłając pozostałe numery od 23 do 26 włącznie potrącamy z nadesłanych rs. 2 kop. 40—rs. 1 kop. 20 za II-gi kwartał. Pozostaje zatem opłata nie na całe drugie półrocze, tylko na III-ci kwartał. Pierwsze półrocze z r. 1871 wysyłamy.

— *Panu Wierz. w Irenie.* Książeczkę z obrazkami wybraliśmy i już jest wysłaną pod wskazanym adresem. Wyjątkowym sposobem nabyliśmy ją taniéj (60 kop.). Koszta przesyłki wynoszą 20 kop., zatem nie nam się nie należy. Oświadczamy przytem, że i nadal wszelkie podobne żądania chętnie załatwiać będziemy.

— *Panu Teofilow Sz.* we Lwowie. Z propozycyi, Pana skorzystać nie możemy. Prosimy uprzejmie o nadsyłanie nam korespondencyj.

— *Panu Bełcikowskiemu w Krakowie.* Sto egzemplarzy wysłaliśmy. Za obietnicę dziękujemy.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca. Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

☞ Patrz Dodatek.